

Alodia Kawecka-Gryczowa

Część 1.

Hitlerowcy tłumiąc z całą bezwzględnością Powstanie nie pozostawili żadnych złudzeń, że Warszawa starta zostanie z powierzchni ziemi, tak jak to stało się kiedyś z metropoliami świata starożytnego. Toteż troska podziemnych władz o przeznaczone na zniszczenie dobra kulturalne i pamiątki narodowe znalazła wyraz w punkcie 10 aktu kapitulacyjnego oraz we wszczętych zaraz po upadku Powstania krokach zmierzających do wywiezienia cenniejszych obiektów. Jak wiemy (por. wspomnienie Jerzego Zatheya w Aneksie), nawet podczas trwających walk w mieście prof. Zachwatowicz usiłował przygotować komisję zabezpieczającą, ale pierwsze pertraktacje z Niemcami podjęto 5 X, a pierwsze dojazdy w celach ewakuacyjnych dopiero w miesiąc później. Ponieważ „sztab” polski kierujący od listopada ewakuacją mieścił się w Pruszkowie, często nazywa się tę działalność akcją pruszkowską.

O jej organizacji, przebiegu, warunkach, w jakich się odbywała, na trzech odcinkach: archiwalnym, bibliotecznym i muzealnym, napisano już dużo. Wiele szczegółów o tych bohaterskich zmaganiach z wrogiem, uciekającym czasem, mrozem, szykanami i mordęgą dojazdów, a jednocześnie z najbardziej ze wszystkiego dręczącym przeświadczeniem, że czego się nie wywiezie, to skazane jest bezapelacyjnie na spalenie, przekazali w druku niektórzy autorzy niniejszej książki. Nie chciałabym więc powtarzać rzeczy opisanych i znanych, chociaż Biblioteka Narodowa była jednym z głównych punktów prac ewakuacyjnych na odcinku bibliotecznym. Jak wielką pracę tu wykonano w ciągu dwu i pół miesiąca, poświadczą cyfry: zapakowano i wywieziono transportem kolejowym do Niemiec ok. 145 000 tomów, a ponadto około 20 000 woluminów ulokowano w pruszkowskich składach kolejowych (tzw. Dulagu). Było to ogromne osiągnięcie kierownictwa ogólnego i bibliotecznego całej akcji. Trzeba bowiem pamiętać, że hitlerowcy zamierzali perfidnie wypaczyć cel umowy kapitulacyjnej i zezwolili wywozić tylko niemieckie książki, później zaś pod naciskiem nalegań bibliotekarzy zgodzili się na wywiezienie książek polskich, ale najwyżej 100 000 tomów z całego miasta, tłumacząc się brakiem środków transportu etc. Tymczasem zaś sama tylko Narodowa nieomal podwoiła przyznany limit, łącznie zaś z Uniwersytecką, Biblioteką Publiczną, Biblioteką Zamoyskich i zbiorami prywatnymi suma ewakuowanego mienia bibliotecznego przekroczyła 300 000 tomów.⁵⁸ Świadczyło to jednocześnie o sprawności organizacyjnej naszego podziemia. Jakkolwiek na wszystkich odcinkach odczuwano brak dostatecznej ilości rąk do pracy (przede

wszystkim wykwalifikowanych bibliotekarzy, zwłaszcza od momentu gdy władze policyjne zabroniły kobietom wjazdu do „twierdzy”), to i tak w akcji pruszkowskiej brało udział sporo ludzi: w samej tylko grupie bibliotecznej (co prawda najliczniejszej) około 80 osób. Dodać atoli trzeba, że był to element dość płynny, zwłaszcza gdy chodzi o specjalistów: niektórzy pojawiali się tylko na parę dni (Lewak, Toporowski, Kossonoga), niektórzy — nie wytrzymując ostrej zimy i zapadając na zdrowiu — nie brali udziału w wyjazdach przez czas dłuższy (np. Łysakowski).

Wszyscy pracownicy, choć skromnie, byli płatni, za pracę dzienną otrzymywało się 200 zł strawnego. Niektórym, bez dachu nad głową, wynajmowano w Pruszkowie pokoje. Ponadto kierownicy ekip dysponowali gotówką na łapówki i dobrze zakrapiane śniadania dla „Begleiterów” — żandarmów konwojujących poszczególne grupy. Wszystko to pochłaniało bardzo duże sumy dostarczane przez podziemie, a rozprawdane przez Stanisława Podwińskiego, b. wiceprezydenta Warszawy, urzędującego w Pruszkowie kierownika administracyjnego całej akcji.

Formy organizacyjne w stosunku do pierwotnych zamierzeń polskich przedstawiały się nad wyraz skromnie. Początkowo, we wstępnych pertraktacjach ze stroną niemiecką, którą reprezentował dr Schellenberg, postulaty polskie były bardzo rozległe. Nie wdając się w ich omawianie wystarczy powiedzieć, że prezydent Podwiński żądał na konferencji 5 X 1944, aby na terenie Warszawy zamieszkało ok. 100 wybitnych specjalistów, których wspomagałoby ok. 40 000 sił roboczych; mieliby oni przygotować do wywozu ok. 250 wagonów mienia kulturalnego i artystycznego. Na następnym posiedzeniu w dniu 11 X, które odbyło się już w Pruszkowie, ponieważ — jak wiadomo — od 6 X wszyscy musieli opuścić Warszawę, przy udziale dra Schellenberga, dra Braniga, dyr. Witolda Suchodolskiego i ks. prałata Hilchena, Schellenberg starał się żądanie polskiej strony zbagatelizować i wykręcić ze zobowiązań. Tyle przecie wytargowano, że Niemcy zgodzili się dopuścić niewielką grupę na teren „twierdzy”.

Pertraktacje wznowiono dopiero pod koniec października, tak że od 4 listopada zaczęły wyjeżdżać przedstawicielstwa bibliotekarzy, muzeologów i archiwistów. A był to najwyższy czas. Grupy Brandkommando bowiem nie ustawały w swej pracy. Jedna z nich zjawiała się w gmachu Biblioteki na Rakowieckiej, na szczęście zastała już ewakuacyjną ekipę biblioteczną, która wylegitymowała się urzędowymi papierami, odprawiając podpalaczy z kwitkiem. Zapowiedzieli oni jednak swój powrót — i to rychło.⁵⁹

Pierwsze wyjazdy miały charakter „zwiadowczy”, jeśli chodzi o wielkie instytucje. Początkowo ratowano głównie zbiory prywatne z Biblioteki Zamoy-skich, jednocześnie w BU i BN przystąpiono do przygotowywania akcji ewakuacyjnej. Ponieważ obsada specjalistów była niewielka, kilku odpowiedzialnych

bibliotekarzy ugięło się pod ciężarem nadmiernej pracy. Zadaniem najtrudniejszym był odpowiedni wybór istotnie najbardziej zasługujących na ratowanie zbiorów. Niemcy wciąż grozili, że czasu jest mało, bo lada chwila mogą zamknąć dostęp do Warszawy, co wobec zbliżania się ofensywy radzieckiej było bardzo prawdopodobne. Z początkiem stycznia podano oficjalnie do wiadomości, że ewakuacja trwać będzie tylko do 20 tegoż miesiąca, powtarzano też nieustannie, że wszystko zostanie spalone. Nietrudno sobie wyobrazić, że przy tym ciągłym zagrożeniu nerwy napięte były do ostateczności. Trzeba było wiele zimnej krwi, opanowania, silnej woli i wysiłku fizycznego, by w tych warunkach gospodarować czasem jak najoszczędniej i najrozsądniej.

Nie wszyscy bibliotekarze zgłosili się do tej pracy, niektórzy szybko się wycofali. Słyszało się zdania, że segregacja i wywożenie książek są niepotrzebne, wprowadzają tylko olbrzymią dezorganizację instytucji, które szczęśliwie przetrwały dotąd, najprawdopodobniej więc i przetrwają nadal. Opinie te, wyjątkowe w czasie akcji pruszkowskiej, odezwały się w innej nieco tonacji i ujęciu wśród niektórych bibliotekarzy po zakończeniu wojny, kiedy już było wiadomo, że istotnie BU oraz BN na Rakowieckiej wyszły z opresji cało, natomiast zbiory wywiezione do Adelina na Śląsku, a zwłaszcza do Görbitsch mocno ucierpiały, i że trzeba było całe wielkie magazyny książek ustawiać na nowo, odtwarzać katalogi etc. Wszystko to prawda — tylko że ci, którzy krytykowali chaos, jaki zapanował w bibliotekach, byli nieobecni w czasie zmagania się polskich bibliotekarzy z silniejszym od nich wrogiem o zachowanie powierzonego ich opiece mienia i nie musieli ponosić odpowiedzialności wtedy, gdy żyło się pod nieustającą groźbą spalenia wszystkiego.

Obowiązek ratowania za wszelką cenę — cenę własnego zdrowia, a niekiedy i życia — wzięli na siebie ludzie szczególnie ofiarni. Jak wiadomo, wielu z nich nie miało żadnej zaprawy w pracy fizycznej oraz w znoszeniu nad wyraz ciężkich warunków, których nie szczędziły szykany hitlerowców i ostra zima. Tylko największy wysiłek woli i głębokie przeświadczenie o wysokiej wadze celu przełamywały słabość mięśni, serca, płuc, pozwalały zwalczać dotkliwie zimno i niedożywienie. Wielogodzinne wyczekiwanie w deszczu lub na mrozie na samochody dowożące do Warszawy, długa jazda odkrytą ciężarówką, praca w zdemolowanych i nie ogrzewanych pomieszczeniach mogły i najwytrzymalszych przyprawić o chorobę, a cóż dopiero mówić o słabszych kondycyjnie, jak prof. Borowy, dyr. Łysakowski lub dr Grycz. W czasie jazdy przeważnie niedostatecznie odziani ludzie starali się ochraniać od lodowatego pędu powietrza własnymi ciałami, zbijając się w ciasną gromadkę. Mieszkali zaś niektórzy, w szczególności pracownicy fizyczni, w bardzo złych warunkach, mydło i woda nie wszędzie miały częste zastosowanie. Nie dziwota, że z takich wypraw przywożono wszy lub świerzb — była to jedna z okropniejszych dokuczliwości tej zimy. Wszystkie udręki spadały podwójnym ciężarem na barki dra Grycza, gdyż w całej ekipie był on chyba najsłabszy. Choć z wielkim trudem znosił jazdy do Warszawy, brał w nich

udział systematycznie w początkowej fazie, a później zawsze — ilekroć wymagała tego potrzeba, chyba że jakaś ciężka przypadłość zmusiła go do pozostania w domu.

Początkowo grupą operującą w BN kierował dyr. Adam Łysakowski i dyr. Marian Łodyński. Stronę niemiecką reprezentował przybyły 15 XI z Krakowa dyr. Abb oraz dr Himpel. Z Abbem były poważne kłopoty, ponieważ chciał on wywozić tylko niemieckie książki, co było oczywistym wypaczeniem już nie tylko aktualnie reprezentowanych postulatów polskich, ale wręcz przekreśleniem istotnego sensu 10 punktu aktu kapitulacyjnego.

Część 2 poniżej.

Wobec różnorodnych trudności kierownictwo akcji pruszkowskiej sprowadziło z Krakowa dra Grycza, który mimo złego stanu zdrowia stanął na czele grupy bibliotecznej.

Początkowo zamieszkaliśmy w jednej izbie wraz z dużą grupą kolegów w gmachu magistrackim w Pruszkowie. Spało się pokotem na betach, które RGO sprowadziła z Warszawy. Staraliśmy się nie zwracać uwagi na ich bardzo podejrzaną czystość. Rano naszą sypialnię likwidowaliśmy, ponieważ w tym samym pokoju odbywało się urzędowanie pracowników magistrackich. Całe zresztą towarzystwo musiało wczesnym rankiem zjawić się w punkcie zbornym, skąd po dłuższym oczekiwaniu na placu odbywał się odjazd do Warszawy.

Pierwszy wjazd do Warszawy wywierał wstrząsające, koszarne wrażenie. Było to miasto-upiór. Jechało się zupełnie pustymi ulicami, które w większości właściwie nie istniały. Wśród jednego wielkiego rumowiska, płataniny drutów i barykad przetarto trasy, którymi można się było poruszać. Zewsząd widoczne były dymy i ogień — systematyczna, pedantyczna akcja palenia trwała nadal. W czasie jednej z pierwszych wypraw zawieziono nas na Okólnik — tam brodziłam w popiołach pozostałych po Bibliotece Załuskich, po setkach inkunabułów, tysiącach rękopisów.

Przydzielono mnie do pracy w Bibliotece Uniwersyteckiej, gdzie miałam w magazynie wybierać cenniejsze stare druki. Warunki, w jakich ona przebiegała, zostały już opisane. Na własnej skórze znalazłam potwierdzenie wszystkich jej dokuczliwości, z których największą powodował iście szatański system budowy magazynu — najnowocześniejsze osiągnięcie techniki końca XIX w., polegające na tym, że zamiast stropów oddzielających poszczególne piętra magazynu zastosowano żelazne ruszty. W normalnych warunkach kurz sypie się bez przerwy z górnych pięter aż na parter. W czasie zaś zimy 1944 r. (a mróz chwytał już w listopadzie) przy wybitych oknach wędrowała przez magazyn nieustannie istna trąba powietrzna. Żelazne półki i żelazne „podłogi” zamieniały się w lodowe przy obniżonej temperaturze. Jak wytrzymali te warunki ludzie, którym przyszło przebywać tam parę miesięcy zimowych, trudno zrozumieć. A jednak wytrzymali — i wielkie swe dzieło spełnili. Ja pracowałam w BU zaledwie parę dni, bo wkrótce Niemcy zabronili kobietom wjazdu do „twierdzy”.

Do kobiet biorących udział w pracach ewakuacyjnych należały: Helena Drzażdżyńska, Maria Królikowska, Irena Łodyńska, Zofia Rothertową, Wanda Rudzka, Maria Rutkowska, Irmina Śliwińska, Wanda Sokołowska, Maria Wodzinowska (Dembowska). One przy powrocie odczuwały ze zdwojoną przykrość-

cią rewizję na ul. Wolskiej. Z bibliotekarzy oprócz znanych nam już z innych publikacji: Jan Kossonoga, Stanisław Piotr Koczorowski, Andrzej Grodek, Czesław Gutry, Edward Assbury, Ksawery Świerkowski. Kierownikiem prac w BU był — jak wiadomo — Makowiecki, w BN — Łysakowski, a dyr. Łodyński zastępcą dra Grycza.

W czasie jednej z pierwszych wypraw na Okólnik odnaleziono pod śniegiem kilka rękopisów wyrzuconych z magazynu w czasie pożaru. Przekazano je prof. Lorentzowi, który dysponując osobowym samochodem, wywiózł je potajemnie z Warszawy i umieścił w Piotrkowie. Tym sposobem uniknęły one wędrowek na tereny niemieckie i związanych z tych niebezpieczeństw.

Niezależnie od zabezpieczania zbiorów BU, BN, Biblioteki Zamoyskich, Biblioteki SGH, a pod koniec i Biblioteki Publicznej wiele wysiłku włożono w ratowanie kolekcji prywatnych. Oprócz zbiorów powszechnie znanych, jak np. biblioteka Jana Michalskiego, varsawiana Korotyńskiego, sinologia prof. Jabłońskiego, zabezpieczonych w pierwszych dniach akcji ewakuacyjnej, do kierownictwa ogólnego, tj. na ręce prof. Lorentza i ekipy bibliotecznej, napływało wiele zgłoszeń pośrednich lub bezpośrednich z prośbą o ratowanie bądź to dzieł własnych, bądź księgozbiorów. W zeszycie rejestracyjnym zanotowano ponad 200 instytucji i osób. Przy niektórych pozycjach uwidoczniono, co się ze zbiorami stało. Podam tu kilka ciekawszych przykładów. I tak zgłosili swe biblioteki: Ludwik Gocel, który mądrze rozparcelował ją w trzech punktach (u Kapucynów na Miodowej, na Krzywym Kole i na Inflanckiej), Artur Śliwiński, Julian Wołoszynowski (tu odnotowano: „Dom zburzony” na Brackiej 5), Nelly Gałęcka-Strugowa (rękopisy męża w Arsenale — dopisek: „30 X sala zburzona i spalona”), Ananiasz Zajączkowski (Brzozowa 12 — „dom spalony”), Tomasz Piskorski (Nowy Zjazd 3 m. 5 — „w piwnicy 10 Norwidów w albumie, listy Chopina do Elsnera, listy Moniuszki”), Zenon Przesmycki („przejęte w styczniu 1945 r.”), Witold Jabłoński (m. in. „3 teki Skoczylasa zabezpieczone”), Szyffman („Biblioteka Teatru Polskiego”), Władysław Witwicki (zbiory w 2 piwnicach, 25 XI — jedna spalona, z drugiej zabezpieczone), Leonard Podhorski-Okółów (Malczewskiego 1 — „dom nie istnieje”). Do zgłoszeń dołączano bardzo często rysunki, planiki rozmieszczenia piwnic lub mieszkań, gdzie należało szukać książek czy innych obiektów. Na podstawie wspomnianej rejestracji dr Grycz układał „mapę” wskazanych domów wedle dzielnic i wyznaczał marszrutę ekip zabezpieczających. Sprawa to nie była łatwa, bo: 1^o nie zawsze wystarczało czasu na takie ekskursy, i 2^o — wiele zależało od „Begleitera”, czy zechce zboczyć z wyznaczonej trasy do BU lub BN. Toteż starano go się kaptować wszelkimi sposobami, gadką i papką, przy czym najlepszy skutek osiągała wódka i wędzonka — do takich „gadek” używany był najczęściej dr Grycz z racji swej biegłej niemieczyny i dowcipu. W trudniejszych sytuacjach wiele pomagał prof. Lorentz, który miał większą swobodę poruszania się i niejedno przemycił przez Räumungsstab.

Dzięki inicjatywie S. P. Koczorowskiego udało się ocalić norwidiana oraz skrzynie z wronscianami z kolekcji Miriama, jak o tym notowała wzmianka rejestracyjna. Szerzej o tym wydarzeniu opowiada sam Koczorowski.⁶¹ Mianowicie 7 stycznia udała się na ul. Mazowiecką 4 cała wyprawa złożona z autora wspomnienia, prof. Borowego, pp. Makowieckiego i Korzeniewskiego pod wodzą dra Grycza. Na szczęście piwnica, w której Przesmycki umieścił najcenniejsze skarby, ocalała. Przepakowane zbiory zajęły 2 skrzynie i 11 worków — plon był więc duży. Autografy i albumy Norwida przewieziono do Pruszkowa do ówczesnego mieszkania⁶² prof. Borowego i tam odbywało się porządkowanie papierów. Pamiętam jak dziś promienną, wniebowziętą twarz prof. Borowego, gdy dotykał autografu *Vade-mecum*, gdy głaskał opuchłymi od odmrożeń palcami małe karty rękopisów. Mieszkaliśmy w sąsiednim pokoju, miałam więc zaszczyt trochę pomagać przy pakowaniu tej spuścizny. Zabezpieczenie jej szło poza „oficjalnym torem” i Niemcy nie powinni byli o tym wiedzieć. Gdy już wszystko było uporządkowane i spakowane, wczesnym rankiem załadowaliśmy bagaż na małe sanki i prof. Borowy sam ciągnąc je na sznurku zawiózł do Żbikowa, gdzie umieścił rękopisy w podziemiach tamtejszego kościoła, skąd po wojnie powróciły do BN.

Uratowanie Norwida stało się dla nas wielkim świętem. Drugi taki radosny, triumfalny dzień przeżyli koledzy z BU, gdy tuż przed Wilią skończyło się zamurowywanie w podziemiach 70-tysięcznej biblioteki.

Okres nadchodzących Świąt był także i z tego względu pogodniejszy, że Abb wyjechał do domu. Choć mrozy trzymały nadal tęgie, atmosfera nieco odtajała. Z pozostałym drem Himplem praca była łatwiejsza, zgodził się bowiem, aby wywożone książki składać w halach kolejowych tzw. Dulagu, z czego korzystając zgromadzono tam do 11 stycznia 1945 r. 923 worki oraz 29 skrzyń, łącznie ok. 80 tys. tomów z BN, BU i Biblioteki Publicznej⁶³.

Z początkiem stycznia członkowie akcji otrzymali przydziały odzieżowe: kupony materiałów. Przy zapadającym już zmroku generalny szafarz naszej pruszkowskiej komisji-matki żywicielki, p. Antoni Bida, rozdawał te upominki gwiazdkowe. Bardzo cieszyłam się z wełny na jesionkę, którą kiedyś w przyszłości będę mogła zastąpić okrywające mnie aktualnie dwa letnie płaszcze: jeden mój własny, a drugi obszerny i długi, mężowski. Ściągnięte rzemiennym paskiem gwoli ciepła nadawały mi kształt zbliżony do niewielkiej kuli rozpołowionej i z lekka wciętej w środku. Przyodziewek ten, dość pospolity na owe czasy wśród warszawiaków, w żadnym razie nie mógł konkurować malowniczością z damską pelerynką futrzaną prof. Borowego, która przystrajała go w pierwszych tygodniach jego urzędowania.

Nadchodził koniec akcji pruszkowskiej. Ostatni wyjazd nastąpił 14 stycznia.

Następnego ranka ciężarówka nie przyjechała — Niemcy się ulatniali. Ruszyła gwałtownie ofensywa radziecka. W nocy z 16 na 17 stycznia nikt nie spał, gwałtowne bombardowanie i krążące samoloty zapędzały ludzi do piwnic. Rano tanki radzieckie wjechały na ulice Pruszkowa — skończyło się koszmarne panowanie hitlerowskie. Prace zabezpieczające nasze mienie kulturalne w swoim zasadniczym zrębie, wedle ówczesnych możliwości, zostały wykonane.

Współczesna ocena wysiłku bibliotekarzy była bardzo surowa: odmawiano im zdolności organizacyjnych, wytykano sporo wad, piętnowano obojętność niektórych. Prof. Borowy nie znalazł wśród nich nikogo „na miarę Lorentza”! Trzeba pamiętać jednak, że słowa te dyktowało najwyższe napięcie nerwowe, niezwykle wysokie wymagania wobec siebie samego i wobec innych, gorący żar oddania sprawie, której wszystko powinno być podporządkowane, a której celem było ratowanie tego, co dla każdego intelektualisty, dla każdego Polaka było najdroższe. W tych warunkach, gdy mierzy się ludzi miarą własnego, największego wysiłku, łatwo jest o sąd zbyt surowy, jakkolwiek nie pozbawiony podstaw. Wynikał on niewątpliwie z pewnych słusznych obserwacji. Nie wszyscy zdawali ten niezwykle trudny egzamin, choć przeważnie z przyczyn obiektywnych: bądź z braku większych zdolności organizacyjnych, bądź z braku sił fizycznych. Ale wszyscy, którzy poświęcili swój trud akcji pruszkowskiej i przy niej do końca wytrwali, pracowali z maksymalnym poświęceniem, większym nawet, niż ich możliwości na to pozwalały — i w końcowym wyniku zadanie na nich nałożone spełnili nie najgorzej. A ludzi „na miarę Lorentza” ani wtedy, ani dziś w normalnych, pokojowych czasach nie znajduje się łatwo.